Włodzimierz Czarnowski
IX 1972

ARCHIWUM Kraków

Ksiądz Włodzimierz hr. Szembek
Salezjanin

syn Zygmunta hr. Szembeka[x/] i starszej siostry mojej matki Klementyny z hr. Dzieduszyckich urodził się w Porębie 22/IV 1883 r. Nasza wspólna babka Alfonsyna z hr. Miączyńskich Włodzimierzowa hr. Dzieduszycka była szczególną indywidualnością o wybitnej inteligencji. Wraz z mężem, znanym działaczem na polu społecznym i wybitnym mecenasem nauki i sztuki polskiej, umiała przekazać swym córkom i licznym wnukom ów " sensus catholicus", który obok węzłów rodzinnych dawał im pewne cechy wspólne. Siedmiu z jej trzydziestu wnuków uzyskało święcenia kapłańskie, a dwie wnuczki zostały zakonnicami. Stanowi duchownemu poświęcił się również brat Zygmunta, a stryj księdza Włodzimierza, ksiądz Jerzy hr. Szembek arcybiskup mohylowski i metropolita wszech Rosji. Ów dostojny purpurat, utrzymujący zawsze bliskie stosunki ze swą rodziną, nie pozostał bez wpływu na światopogląd bratanka, z którym łączyło mnie nie tylko bliskie pokrewieństwo lecz i serdeczna przyjaźń. Dlatego tych kilka słów chciałbym poświęcić jego ofiarnej, szlachetnej i pełnej poświęcenia postaci, by w miarę moich możliwości utrwalić pamięć o nim w rodzinie i zgromadzeniu duchownym do którego należał.

Dzieciństwo i lata szkolne oraz uniwersyteckie spędził w Krakowie, gdzie ukończył studium rolnicze. Dzięki rodzicom wychowywany był w atmosferze wielkiej kultury intelektualnej. Krakowski ich salon przy ul. Starowiślnej 15 był w tym względzie dosyć ekskluzywny, gdyż poza rodziną bywali tam przede wszystkim ludzie repreznetujący ówczesny kwiat kultury umysłowej Krakowa, jak prof. Stanisław hr. Tarnowski rektor uniwersytetu i prezes Akademii Umiejętności, ksiądz profesor Stefan Pawlicki, Henryk

Sienkiewicz, Stanisław Witkowski, Karol Potkański, Wacław Zaleski późniejszy minister skarbu, profesorowie Kazimierz Morawski i Jerzy Mycielski, Konstanty Górski, Karol Hubert Rostworowski, Zygmunt hr. Pusłowski czy wybitnie zdolni synowie jego Emanuel i Ksawery, Grono to nie pozostało bez wpływu na formację umysłową młodych Szembeków, Jana późniejszego podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, autora słynnego "Diariusza", oraz księdza Włodzimierza. Formację szczególnie ciekawą, gdyż wpływem tego krakowskiego grona o wybitnie humanistycznym charakterze towarzyszyło zainteresowanie do ścisłych nauk przyrodniczych, których rzecznikiem był ich dziadek Włodzimierz hr. Dzieduszycki- założyciel pierwszego w Polsce muzeum historii naturalnej we Lwowie, a które przekazał następnym generacjom. W nich szukać należy źródeł owego doszukiwania się ścisłości przez księdza Włodzimierza w każdej kwestii, z którą się stykał, pełnego zaabsorbowania się problemem i zbadania go do samego dna. To zaabsorbowanie było charakterystyczne dla jego osobowości. Zawsze mało komunikatywny tak w słowie jak i piśmie, nie lubił korespondencji, listów nie pisywał a nawet niechętnie je odbierał. Unikał wszelkiego badinage i nie bawiły go żarty. Odzywał się tylko gdy chodziło o opanowane przez niego konkrety. Wówczas chętnie i jasno tłumaczył często zawiłe zagadnienia i dzielił się posiadanymi wiadomościami. Jak wspomniałem był z natury małomówny bo zawsze o czymś myślał, czymś był wewnętrznie zajęty, co w pewnym sensie odrywało go od świata i ludzi. Podobno za młodu lubił życie towarzyskie, bardzo bujnie rozwijające się w Krakowie. Doskonały tancerz, po dziadku Józefie i ojcu Zygmuncie, bardzo muzykalny, nie bez talentu grywał na fortepianie i śledził współczesny mu ruch muzyczny. Wszystko to jednak ustąpiło owemu zaabsorbowaniu intelektualnemu, doszuki-

waniu się prawdy w każdej kwestii bez względu na jej wartości praktyczne czy inne prawdy dla niej samej, która chyba leżała u źródeł jego duchowego powołania.

Ponieważ był znacznie starszy ode mnie a przebywał stale w Krakowie bliższe stosunki nawiązaliśmy dopiero, gdy po skończeniu studiów około 1905 roku objął w zarząd majątek matki Pruchnik położony w powiecie jarosławskim, w sąsiedztwie naszych Pełkiń. Był wówczas młodym człowiekiem średniego wzrostu, o wąskiej twarzy, wydatnym orlim nosie i głęboko osadzonych myślących oczach. Gładko wygolony, po kilku miesiącach zaskakiwał znajomych obfitą brodą, by po pewnym czasie znów powrócić do pierwotnego wyglądu. Majątek objął w trudnych warunkach finansowych i słabo zagospodarowany,a przy tym obciążony długiem powstałym z zakupu majątku Młoszowa koło Trzebini przez brata jego Jana w wyniku rodzinnego układu. Zamieszkał w niewielkim parterowym domu z małym ogródkiem przy podwórzu folwarku Węgierka. Domu tego, choć był stary jak świadczyły o tym potężne skarpy podpierające go od strony wschodniej, trudno było nazwać dworem. Bardziej nadawał się na mieszkanie oficjalisty niż właściciela. Z początku myślał o zaadaptowaniu dla siebie starego zabytkowego śpichlerza, stojącego opodal na wzgórzu wśród wiekowych lip. Do realizacji tego projektu jednak nigdy nie doszło. Wokół owego domu, obsadzonego krzewami, miał zebraną ciekawą kolekcję storczyków dziko rosnących w lasach pruchnickich, które klasyfikował i badał ich właściwości botaniczne. Wchodziło się doń po schodkach przez małą oszkloną werandkę obrośniętą dzikim winem. Na prawo był pokój, w którym pracował i przyjmował gości. Jego ściany pokryte były półkami z książkami. Klasycy literatury greckiej i rzymskiej, nauki przyrodnicze, rolnictwo, matematyka i astronomia, różne dzieła techniczne, wszystko tam było bo leżało w sferze jego przeróżnych zainteresowań. W rogu

stał wspaniały fortepian Steinway, ofiarowany mu przez babkę Alfonsynę Dzieduszycką na którym grywał. Do wykonywania utworów wymagających większej biegłości używał niespotykanego już dziś instrumentu zwanego pianolą. Zakładano doń wałek ze zwojem tekturowym zaopatrzony w otwory w stosownym układzie, który obracał mechanizm pneumatyczny napędzany pedałami. Prąd powietrza przechodzący przez odpowiednie otwory powodował uderzenia w klawisze. W ten sposób pianola zastępować miała wirtuoza, choć jak z żalem mówił jej właściciel, nigdy prawdziwemu pianiście dorównać nie umiała. Nad drzwiami umieścił italikami wypisaną sentencję z Wawelu, charakterystyczną dla jego poglądów i sposobu życia, "ubi pauper caepit divitem imitari, periit", zaś nad wejściem do łazienki "nihil sine causa". W jadalnym pokoju, prócz stołu do spożywania posiłków i pięknej barokowej szafy, gość zaskoczony bywał różnymi niespodziewanymi przedmiotami. Raz był to warstat stolarski z narzędziami, którymi wyrabiał ule do pasieki ulegając może wpływom ówczesnego bestsellera "la vie des abeilles" Maeterlinck'a. Potem znów stał tam warstat tkacki do wyrobu płótna i worków. W rzemiośle tym dopatrywać się musiał jakichś nieznanych mu problemów, bo przecież te jego wyroby nie miały żadnego praktycznego znaczenia. Inną kilkuletnią jego pasją jeszcze przed pierwszą wojną światową była łączność radiowa. Z uwagą śledził rozwój tej nowej dziedziny i sam konstruował odbiorniki, którymi słuchał komunikatów, emitowanych początkowo przez paryską wieżę Eiffla. Nastawianie i strojenie tych aparatów było szczególnie trudne i wymagało benedyktyńskiej wprost cierpliwości. To też wówczas całe nowe spędzał ze słuchawkami na uszach, wsłuchując się w szmery eteru, wśród których nie łatwo było odróżnić emitowane znaki od przeróżnych zakłóceń. Znaki te notował w grubych zeszytach, które potem

sprawnie odszyfrowywał w różnych językach. Były tam komunikaty z toczącej się wówczas wojny bałkańskiej, S.O.S. statków na morzu będących w niebezpieczeństwie, czy różne depesze radiowe. Wszystko to przed przeszło pół wiekiem było nie lada sensacją. Później znów przyszła kolej na sprawy judaistyczne i język hebrajski. Dochodził do niego z Pruchnika żydek, nauczyciel tamtejszej szkoły żydowskiej, od którego brał lekcje. Podobno czytał Tołstoja w tłumaczeniu hebrajskim. Ponadto samo zarządzanie majątkiem dawało mu pole do różnych naukowych dociekań. Jak wspomniałem majątek ten był zaniedbany, a całe gospodarstwo biegło jeszcze starym dziewiętnasto wiecznym trybem. Znaczna odległość od kolei utrudniała dostawy. Dlatego już uprzednio starano się go na staroświecki sposób uprzemysłowić. W Pruchniku był więc młyn i tartak, zaś w Więgierce browar i gorzelnia, oraz wapielnia gdzie eksploatowano i wypalano znakomite wapno hydrauliczne. Wszystko to wymagało unowocześnienia by stało się opłacalne. Zanim przystąpił do przebudowy młyna, tak dokładnie opanował działanie wszystkich maszyn, że nie jedno zagadnienie z techniki młynarstwa znał lepiej od fachowca, któremu powierzył przebudowę. W związku z gorzelnią i browarem badał pod mikroskopem życie drożdży, ich gatunki, rodzaje i warunki rozwoju. Nie wiem czy podniosło to smak piwa węgierskiego, gdyż nigdy się go nie poli i na ogół było krytykowane. Niemniej jednak w każdej dziedzinie związanej z zarządem obszernego majątku każdy problem musiał być przez niego zbadany przez studium odnośnej literatury w różnych językach. Byłby napewno wielkim uczonym gdyby mógł się wyłącznie poświęcić nauce a miał przy tym duże niewykorzystane talenty dydaktyczne. Nigdy się nie unosił. Cecgował go zawsze spokój połączony ze szczególną dobrocią. Nikomu nie umiał odmówić, czy to

świadczeń na rzecz potrzebujących, czy to nawet udziału w zabawie z siostrzeńcami. Pamiętam jak we Lwowie, przed domem naszej babki w trakcie takich zabaw siedział pod parasolem pod pompą, którą dzieci z radością uruchamiały. Strugi wody lały się na parasol pod którym siedział wujaszek ku powszechnej uciesze. Dobroć tę wysublimował później do granic poświęcenia własnego życia. Dla siebie niewiele potrzebował. Żył trochę jak abnegat. Opowiadano, że gdy jego gosposia przygotowywała mu obiad składający się z gołąbków z ryżem, robiła ich tyle by wystarczyły na dłużej i karmiła go nimi przez cały tydzień. Podawał mu je kamerdyner Mikołaj, który dawniej służył u państwa Szembeków, a teraz był u niego w Węgierce i tam uroczyście markował swoje funkcje, choć zażywał spokojnego panis bene merentium. Chlebodawca jego dbał bowiem szczególnie by oficjaliści i liczni pracownicy otrzymywali punktualnie wszystkie swoje należności czy uposażenia emerytalne. Regularnie wypłacał rentę matce i pokrywał zobowiązania mimo trudnych warunków finansowych. Ponadto podejmował wiele obowiązków społecznych w stosunku do mieszkańców wsi położonych w obrębie klucza Pruchnickiego. Był czynnym członkiem organizacji rolniczych, których celem było podniesienie kwalifikacji zawodowych oraz rentowności mniejszych i większych gospodarstw, które żywo rozwijały się w powiecie jarosławskim. Toteż nie tylko był lubiany, ale cieszył się również powszechnym szacunkiem i uznaniem.

Pierwszą wojnę światową spędził samotnie w ciężkich okolicznościach w Węgierce. Samotnie, ponieważ wszystkie okoliczne dwory opustoszały przed inwazją rosyjską. Ich właściciele wyjeżdżali na zachód do Austrii i Czech, chroniąc się przed niebezpieczeństwami i przykrościami towarzyszącymi wojnie. Pozbawiony był więc wszelkich kontaktów z rodziną, przyjaciółmi i sąsiadami. Wojsko rosyjskie splądrowało mu doszczętnie gospodarstwo i pozbawiło

je wszelkich zasobów. Dziesięcioletni dorobek poszedł na marne i trzeba było wszystko od nowa zaczynać. Gdy armia austriacka odzyskała zajęte przez Rosjan tereny Małopolski, powstały dodatkowe trudności z władzami, Chciały go one powołać pod broń i bezzasadnie podejrzewały o podsłuch radiowy, który miał działać na ich szkodę.

Gdy po kilku latach stosunki się nieco unormowały nastąpił nowy kryzys. W 1920 r. Polska znalazła się w tragicznej sytuacji, gdy z powodu najazdu bolszewików niepodległość ojczyzny została zagrożona. Wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni ze sfer ziemiańskich zgłaszali się do szeregów. Nie zabrakło wśród nich Włodzimierza Szembeka, który nigdy uprzednio w wojsku nie służył i z powodu wieku się do niej nie nadawał. Niemniej przydzielono go w koszarach w Jarosławiu do oddziału, w którym młodych chłopców szkolono na żołnierzy. Pełnił tam więc służbę rekrucką avec toutes les corvées militaires. Opowiadano sobie w Jarosławiu jak to pan hrabia z Węgierki napychał słomą sienniki i nosił je z kolegami do koszar co w miasteczku tym niepozostało bez wrażenia. Na uwagę kogoś z przyjaciół, że powinien się zgłosić o przydział, w którym wykorzystanoby jego wiadomości i umiejętności odpowiedział, że nie jest jego rzeczą wybierać sobie służbę, ponieważ władze wojskowe jedynie mogą decydować jaki przydział odpowiada najlepiej potrzebom formacji, w danych okolicznościach. Wkrótce jednak przeniesiono go do radio-telegraficznej służby łączności, gdzie mógł się znacznie przyczynić do jej usprawnienia. Po zdemobilizowaniu odwiedzał oficerów tej służby, udzielając im rad technicznych odnośnie obsługowanej przez nich aparatury i jej ulepszania. Barwnie i z humorem opowiadał o swym życiu z młodymi chłopakami wiejskimi w ciasnocie koszarowej i prymitywnych warunkach, które były dlań

nowym i ciekawym doświadczeniem.

Między innymi i te jego przeżycia wojskowe dowodzą jak mimo wielkiego zasobu wiedzy był to człowiek intelektualnie skromny, który nigdy nie wykazywał swej umysłowej wyższości i raczej ją ukrywał. Widocznie im jej zasób stawał się większy, tym bardziej zdawał mú się ograniczony. Problemy międzyludzkiego porządku, życia i istnienia narastały coraz silniej, stawały się szersze i głębsze i w konspekcie wiedzy świeckiej coraz bardziej niedostępne. Dlatego gdy siostrzeńcy jego ukończyli studia oddał w ich ręce zarząd majątku i tych spraw świeckich się wyrzekł. Wstąpił do zgromadzenia księży Salezjanów i po odbyciu nowicjatu i studiów seminaryjnych w ich domu w Oświęcimiu, otrzymał święcenia kapłańskie od księcia metropolity Sapiehy 3 czerwca 1934 r. w kościele św Piotra w Krakowie. Uroczystą prymicję odprawił bezpośrednio po tym w swym parafialnym kościele w Pruchniku, na którą zjechała się liczna rodzina i całe okoliczne obywatelstwo. Wszystkich przyjmował następnie miejscowy proboszcz, zaś przyjaciel nowowyświęconego salezjanina Hieronim hr. Tarnowski wygłosił piękne i pełne oratorskiego polotu przemówienie.

Od tego czasu widywaliśmy się już bardzo rzadko. Życie zakonne w zgromadzeniu i związane z nim obowiązki uniemożliwiały mu utrzymywanie żywszych stosunków z krewnymi i przyjaciółmi. Daltego opieram dalszą o nim relację na głosach osób z którymi się stykał. Były to zaś lata, w których świat coraz bardziej toczył się po równi pochyłej. Walec okrutnego totalizmu przygniatał coraz większe połacie Europy, nie świadomej tego co ją czeka. Rosła owa nieludzka potęga by wkrótce ujawnić się w wojnie, obozach zagłady i masowych grobach. Indywiduum ludzkie stawało się coraz bardziej bezsilne i bezradne wobec owych ciemnych mocy, przed którymi nie znajdowało schronienia. Dla księdza Szembeka jednak człowiek chodzący bezradnie

po świecie nie spełnia swego duchowego powołania. Bezsilność i bezradność zastąpić ma poświęcenie. Lokata życia stawała się w tych warunkach jedyną znaczącą wartością. Kto bowiem ginie za wiarę, czy wynikający z niej porządek moralny, zwycięża owe ciemne moce, które ustępują w obliczu męczeństwa. Tą ideę, leżącą u źródeł chrystianizmu, głęboko przemyślał ksiądz Szembek. Ona też chyba stanowi klucz do jego dalszych losów.

Niemniej w zgiełku tragicznych wydarzeń okupacji zaskoczyła wszystkich wiadomość, która się rozeszła z końcem października 1942 roku o jego zgonie w obozie śmierci w Oświęcimiu. Nie wiadomo było gdzie, w jakich okolicznościach i z jakiego powodu został aresztowany. Daleki był przecież od jakiegoś konspiracyjnego ryzykanctwa, spokojny i zrównoważony, nie mógł narazić swego zgromadzenia na represje. Śmierć jego była więc dłuższy czas bolesną tajemnicą. Później dopiero stało się wiadomym, że w 1942 roku przebywał w domu księży Salezjanów w Skawie na Podhalu, ktoś ze zgromadzenia tego, czy ze Zgromadzeniem związany, miał rzekomo udzielać pomocy czy ukrywać osobę czynną w akcji podziemnej, szeroko rozwiniętej w tych okolicach, którą bezskutecznie trapiło Gestapo. Choć nie wykryło bezpośrednio zaangażowanych, pewne podejrzenia skierowano przeciwko Salezjanom w Skawie. Mimo, że żadnych konkretnych zarzutów nie ustalono, Gestapo zgromadziło wszystkich księży by jednego z nich aresztować, z tym że jeśli przesłuchanie podejrzeń tych nie potwierdzi, zostanie on zwolniony. Początkowo wymieniono przełożonego. Wówczas ksiądz Szembek uprosił go jako swego duchownego zwierzchnika, by mógł go zastąpić i przyjąć na siebie odpowiedzialność za rzekomą winę w stosunku do niemieckiego okupanta. Jego więc aresztowano. Przez pewien czas przebywał w areszcie gestapo w Zakopanem. Tam był przesłuchiwany. Treści jego zeznań nie znamy,

ale nie mogły one odpowiadać założeniom narodowego socjalizmu, eksterminacyjnej polityce Hitlera i metodom okupacyjnej administracji. Toteż daremnie oczekiwano w Skawie na jego powrót. Przewieziony do obozu w Oświęcimiu, po dwóch tygodniach 17 października 1942 roku, zamęczony przez Niemców, życie zakończył.

Przy moim codziennym pacierzu łączę się w modlitwie z tym drogim ś.p. męczennikiem, ze stryjecznym bratem mego ojca sługą Bożym Augustem Czartoryskim, św Janem Bosco i z całą rodziną Salezjańską.

Włodzimierz Czartoryski

Wrzesień 1972 r.

x/ Zygmunta hr. Szembeka trafnie scharakteryzował Józef Conrad /Korzeniowski/ w noweli p.t. "Il Conte".